



Michał Krzemkowski

Na parafii w Drui (4)

ciąg dalszy z numeru 11/2024

Z nadejściem nowego dnia wypogadza się. Po śniadaniu, na którym po raz czwarty zaserwowano nam „kurkę” (bo była przecież również na wczorajszym obiedzie i kolacji!), Stefan zarządza wyjazd w teren. Zacząć mamy od Idołty, przez którą w wieczornych mrokach przedwczoraj przemknęliśmy. Teraz jedzie powoli. Z drogi nie unosi się dziś najmniejszy kurz, za to rozchlapuje się brudna woda z rozlicznych, niewielkich kałuż. Na trasie miga nam gdzieś zza drzew linia torów kolejowych, dostrzegamy też szuwały i niebieską taflę jeziora Konstantynowo.

Do Idołty mamy dystans około dziesięciu kilometrów. Pod drodze mijamy drogowskazy na okoliczne wioski o swojskich nazwach: Babuszki, Nowiczki, Rybaczki. Skręcamy w kierunku jeziora Idołta. Mostek przecina je w największym odcinku zwężenia, które dzieli to jezioro wyraźnie na dwie części, jakby były to dwa jeziora połączone szerokim kanałem. Kierujemy się do dworu Miłoszów, ich letniej rezydencji, postawionej w drugiej połowie XIX wieku. Tak zwany „zamek” w Drui, będący główną ich siedzibą, którego nędzny kadłub oglądaliśmy wczoraj, wraz z posiadłościami kupił od Sapiehów Józef

Miłosz – miecznik kowieński, aby potem postawić tam nowy pałac. Jego syn zaś – Eugeniusz Miłosz, pobudował dwór w Idołcie.

To, co widzimy, bardzo nas przygnębia. Budynek ten,



Na zdjęciu: Kościół rzymskokatolicki w Ikaźni.

Fot. Michał Krzemkowski

choć intrygującej konstrukcji, znajduje się w totalnej ruinie. Jedyne ustawione tu i ówdzie rusztowania informują, że władze białoruskie podjęły się dzieła renowacji. Na ławeczce przy jednym z rusztowań siedzą znudzeni robotnicy, jeden z nich dłubie trawą w zębach. Są

najpewniej po posiłku. Najwyraźniej nam nieprzychylni, z pewnym oporem odpowiadają na nasze „Dzień dobry”, a my nie wiemy, czy dlatego, że zakłócamy ich przerwę socjalną czy dlatego, że rozpoznali, że jesteśmy z wrażej Polszy.

Obchodzimy całą posiadłość. Za budynkiem dworu leży sterata zmurszałych desek i zwalony stary dach. Nieopodal wiekowe budynki gospodarskie z kamienia polnego i drewna. To zapewne stodoły, obory i warsztaty. Wszystko to zatopione w zieleni zaniedbanego parku dworskiego.

Nad samym jeziorem, na wchodzącym głęboko w jego toń półwyspie stoi nieprzerwanie, choć podniszczona, druga budowla pozostawiona przez Eugeniusza Miłosza – zabytkowa kaplica wybudowana w stylu klasycyzmu, w której spoczęły szczątki jego i najbliższej rodziny. Przykuwają w niej uwagę frontowa elewacja z dużym tympanonem w szczycie i wynoszącą

się ponad nim wysoką wieżyczką w formie latarni oraz pięciokątna absyda i boczne zakrystie. Ściany kaplicy dekorują pilastry, gzymsy, trygify, a także kolorowe witraże w arkadowych oknach i drzwiach głównych. Nie możemy wejść do środka, jest zamknięta. Na

przyległym do kaplicy zniszczonym cmentarzu pozostał już tylko jeden nagrobek – Konrada Miłosza, najpewniej syna Eugeniusza.

Wracamy do drogi. Przed nami drogowskaz z zabawną nazwą w białoruskiej cyrylicy: „Sznurki”.

– Haha, Sznurki – śmieje się. – Stefanie, ty, który pociągasz za sznurki, gdzie nas teraz prowadzisz?

– Haha – śmieje się Stefan. – Na południe, Bracia i Siostry!

– Bracia i Damy! – poprawia go Krzysztof.

Samochód rusza. Mijamy naraz sklep, cały zielony, o ścianach obłożonych łazienkowymi kafelkami i mocarnych, w bok odchylnych drzwiach. Jedziemy dalej z rozrzwieniem spoglądając na konie, pasące się w polu i duże stado krów na łące.

– Sielsko, anielsko – kwituje ten widok Ania.

Droga wiedzie wiejskimi terenami pastwisk, niewielkich pól uprawnych, zarośli, leśnych kęp. Były „Sznurki”, teraz są „Tyczki” i odchodząca w bok droga do przystanku kolejowego: „Idołta”.

Jako miłośnik kolei każe się tam zawieść. Być tak blisko i nie zobaczyć obiektu kolejowego, byłoby grzechem. Widok podobny, jak na niektórych polskich stacjach głęboko w polu, ale jakby wyrazistszy – bardziej zielono, dziko, bardziej wszystko oddane we władanie naturze. Niewielki

betonowy peronik obrastają wokoło wysokie po kolana trawy, a przed samym wejściem do budki poczekalni z białej cegły rosną krzaki, jakby strzegąc do niej wejścia. Wzdłuż toru kolejowego po pochylonych w lewo i prawo drewnianych słupach biegnie linia elektryczna niskiego napięcia.

Jadąc dalej „powiatówką”, mijamy zatopione w żywiole zieleni kolejne domostwa. Prawie wszystkie dachy kryte są eternitem, wiekowym, szerniałym. Między rozrzuconymi w przestrzeni domami rozkładają się połacie łąk oraz wierzbowych i olchowych zarosli na podmokłościach. Są też i przygnębiające widoki domów opuszczonych, spoglądających częstokroć na drogę ślepymi okiennicami. Emigracja ludności ze wsi do miast, szczególnie do pęczniącego jak nowotwór Mińska, spowodowała, że Łukaszenka zaoferował budowę domów na wsi dla wszystkich tych, którzy podejmą się pracy w kolchozach. – Każdy, kto przepracuje w kolektywnym rolnictwie dziesięć lat, może potem wziąć taki dom na własność – tłumaczy nam Stefan. Mimo tego, wyludnienie białoruskiej wsi jest już procesem nie do zatrzymania.

Przez Miory tylko przejeżdżamy, tym razem zwracając uwagę na dywan kwiatowy nad jeziorem, ułożony w napis МИОРЫ, po rosyjsku, choć na drogowskazie była nazwa białoruska „Мёры”. Jedziemy do Kamieńpoła, który, podobnie jak Miory, należał niegdyś do ważnego rodu Mirskich. Nasze pierwsze kroki kierujemy do sklepu. Starsza kobieta na rowerze, usłyszawszy rozmowę po polsku, zatrzymuje się. Pyta, czy my może jesteśmy rodziną książąt Mirskich. Nazywa się Teresa Wiśniewska i pamięta jeszcze lata przedwojenne. Do spółki z Krzysztofem „atakujemy” białoruskie piwo za 790 rubli (1,20 zł), bo „zaszło nam w gardle”, czego Stefan nie rozumie.

– Rozumiem, że dziewczynom zaszło, bo wiecznie gadają (choć wcale nie gadają – przyp. MK), ale wam?!

– Ano, widzisz, Stefanie – odpowiada krótko Krzysztof i wąs poprawia.

Piwem pokrzepieni ruszamy na spacer aleją w kierunku dworu Mirskich. Zachował się w dość dobrym stanie, ale ściany ma wtórne, bo w całości wypełnione białą, powojenną cegłą. Przed wojną do dworu prowadziła droga obsadzona

kwiatami i krzewami, a przed frontem rósł piękny, okrągły klomb kwiatowy. Dzisiaj cały dziedziniec porastają dzikie chaszcze traw i samosiejki klonu. Ostały się kolumny portyku, ale nie ma już nad nimi tarasu, a nadbudowa drugiego piętra w części centralnej, zamiast pięciu okien, ma tylko dwa. Ostał się dach naczółkowy, ale zamiast eleganckiej dachówki, pokryty jest obecnie wszechobecnym na białoruskich dachach eternitem. Jedynie w części centralnej, dach dwuspadowy okryty jest, co wyjątkowe, blachą. Z ogromnych chaszczy tego, co pozostało z dworskiego parku, wylawiamy jeszcze wzrokiem ruiny stajni z czerwonej cegły z pięknymi ostrosłupowymi wieżyczkami, których hełmy kryje pordezwiała blacha. Tyle zostało z dawnej świetności majątku dworskiego, przejętego w czasach radzieckich na kolchoz i szkołę, a potem opuszczonego i niszczonego.

Wracamy na trasę. Krajobraz sielski – wiejskie chaty, krowy na łąkach, bocianie gniazda na stalowych wieżach ciśniń... Między dwoma niewielkimi jeziorami, leżącymi tuż przy drodze z obu jej stron, jak przez magiczną bramę wjeżdżamy w krainę wielkich jezior Pojezierza Braśławskiego. Najpierw mijamy jezioro Waża, a potem jedziemy przez ponad kilometr wzdłuż brzegu ogromnego jeziora o abstrakcyjnej nazwie Absterna, które połączone jest z Ważą jeziorem Łusza. To jednak nie wszystko – do tego wielkiego kompleksu jeziornego dopięte jest jeszcze jezioro Uklja, połączone z Absterną krótką cieśniną od zachodu oraz jezioro Nabista, złączone z nim skanalizowaną rzeczką od strony wschodniej. Między Absterną i Nabistą ulokowała się wieś Przebrodzie, niegdyś miasto królewskie, któremu prawa miejskie nadał Stanisław August Poniatowski.

Jeszcze nim wjedziemy do wsi podziwiamy nowoczesne, zadbane i dobrze zainwestowane sanatorium dla dzieci „Rosinka”, rozłożone na sporym obszarze w terenie pomiędzy jeziorami Waża i Absterna.

Wjeżdżając w granice Przebrodzie mamy po prawej stronie niewielki, drewniany, omalże podhalański kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa (Kaściol Serca Isusa – Касцёл Сэрца Ісуса) ze strzełistą dwukondygnacyjną wieżą. Jest jeszcze nieopodal druga świątynia – cerkiew św. Jerzego

Zwycięzcy (Carkwa Swiatoha Hieorhija – Царква Святога Георгія). Podziwiamy przez chwilę jej zadbaną, niebieskozieloną sylwetkę z dachem krytym ocynkowaną blachą i dwoma wieżami: mniejszą od frontu i większą ponad absydą.

Zatrzymujemy się nad stumetrową rzeczką łączącą Jeziora: Absterna i Nabista. Nazywa się „Chrobrówka” (!). Postanawiamy z Krzysztofem dotknąć jej nurtu. To nam się udaje, dlatego zachęceni opowieścią Stefana o ważnych przyrodniczo moczarach, postanawiamy dotrzeć do położonego nad jeziorem Nabista rezerwatu o wdzięcznej nazwie „Bagno Mech”. Szukamy dojazdu. Okrążamy jezioro. Docieramy do rzeczki, to pewnie też sama Chrobrówka. Mostek jest częściowo rozebrany, dalej jechać nie można. Ruszamy pieszo wąską drożyną przez las. Najpierw są kępy wysokich traw, a w kolejnym kręgu wtajemniczenia niskie krzaczki pięknej rośliny o adekwatnej nazwie – „bagno”, o grubych gałązkach i żółtozielonych listkach, która powszechnie używana jest do odstraszenia moli. Pod nogami zaczyna chlupotać woda. Dotarliśmy, jesteśmy na skraju bagna. Robi się jednak niebezpiecznie, zaczynamy się powoli wycofywać. Odrobinę za późno. Bagno nas nie wciągnęło, ale zassało buty tak mocno, że aż z cmoknięciem wyrwamy nogi z paszczy błotnego żywiołu. Niepewnie, ale z wyraźną ulgą stajemy na twardszym gruncie, na butach zostaje szlam z trawą.

Stefan śmieje się i komentuje:

– Poszli na bagno i przynieśli bagno.

– Na błota poszli i błoto przynieśli – poprawiam go żartobliwie.

Grzęznąc w bagnie, dla złapania równowagi muszę jednak podeprzeć się ręką, którą też ubrudziłem. I cóż wyciągam z plecaka...? Mydło w mydelniczce. Gdy to Stefan widzi, szczerze się śmieje:

– Hahaha, mydelniczka! Jesteś mistrzem! Najpierw szklanka, teraz mydelniczka. Prawdziwy skaut!

„Pije” do szklanki, którą miałem w plecaku w czasie naszego pierwszego dnia na Białorusi.

– Przezorny podróżnik – podkreślam z mocą, śmiejąc się też jednak w duchu sam z siebie. Mamy niedaleko do wsi Zabłocie, którą teraz chociażby z uwagi na jej nazwę musimy

odwiedzić. Tak to w każdym razie akcentuje Stefan:

– Skoro byliśmy w „błocie”, to teraz czas na Zabłocie.

Z głębokich moczarów, z rezerwatu przyrody wracamy więc do szutrowej, gminnej zapewne, drogi. Parę kilometrów i jesteśmy u celu. Stefan zagrał nazwą, ale wiedzie nas tu przede wszystkim ze względu na polską historię. Jest ona jednak jeszcze bardziej smutna niż w Kamieńpołu. Tam oglądaliśmy zubożony, niszczący dwór Mirskich, tu po drewnianym dworze rodziny Dmochowskich nie pozostał nawet ślad. Wielka to strata, bo dwór w świetle historycznego opisu był piękny, miał ciekawe dzieje, a urodzili się tutaj ważni ludzie, jak chociażby Kazimierz Roch Dmochowski – arcybiskup metropolita mohylewski (a w czasach jego posługi katolicka metropolia mohylewska obejmowała całą Rosję, aż po Sachalin) czy Henryk Dmochowski – naczelnik wojenny w powstaniu styczniowym. Dwór został rozebrany po wojnie, a w jego miejscu stoi dziś ceglana, białoruska biblioteka.

Robimy lustrację podwórza. Stefani tłumaczy nam, że po białorusku to „dwor”. Zachowały się jedynie resztki drewniano-murowanych: stajni, którą nasi wschodni sąsiedzi nazywają „koniusznia” oraz spichlerza, który nazywają „zierniaschowiszcza”.

Wracamy w kierunku Przebrodzie. Wiedzeni przez Stefana staroobrzędową marszrutą, nie docieramy tam jednak, a zbaczamy ze szlaku, by wbić się głębiej w teren, wytrząść na dziurach lokalnej drogi do Niwnik. Tam czeka na nas kolejna molenna. Nic znowu takiego, żaden cud, ale urokliwa przez swoją kolorystykę. Niewielką drewnianą świątynię, z niewysoką wieżą przy wejściu, kryje pod blaszanym dachem zielononiebieska szata ścian, podobna do tej z cerkwi w Przebrodzie. Może to tutejszy kolorystyczny wzorzec?

Szcześliwym trafem, tuż obok molenny wiejska chata, a przed nią na ławce miejscowi. Stefan, rzecz jasna, przeprowadza z nimi krótki wywiad, nieco wymuszony. Nieufni, podejmują dialog powoli, krok po kroku. Chłop z nim rozmawia zdawkowo, słowami odpowiadając na zdania. Twarz ma wykrzywioną od padającego na nią słońca. Baba siedzi na ławce, obiera ziemniaki („bulby”) i co chwila zerka

ciekawie znad wiadra do góry, na Stefana. Rozmowna jest tylko młoda dziewczucha, która im towarzyszy. Młoda ze wsi, w każdym zakątku świata, zawsze zainteresuje zbłąkany turysta, choćby nawet w wieku patriarchalnym, jak nasz „nastawnik”.

Przeglądamy się tej rozmowie z bezpiecznego dystansu, niezbyt jeszcze śmiały, by wyciągać z pamięci dawno nie używane rosyjskie słowa. Stefan oporów nie ma i wytrząsa z nich tyle, ile się da, po czym wraca do nas i już w samochodzie stwierdza z satysfakcją, że sporo się dowiedział – i o molennie, i o jej parafianach.

Moglibyśmy wrócić prostą trasą do drogi gminnej, a potem w Przebrodziu wbić się z powrotem w do „krajówki” P14 na Brasław, ale Stefan bez konsultacji decyduje się jechać dalej lokalną, by wytrząść nam kości na kolejnych kilometrach wertepów. Dzięki temu widzimy kolejne bocianie rodziny, opuszczone wiejskie chaty, przerozmaite chaszczce i zarośla, mijamy kolejne jezioro i wieś Goruszkę. Wpadamy na drogę krajową, już za Przebrodziem, wprost na północny brzeg jeziora Absterna, które jeszcze przez dobrą minutę okazuje nam swój ogrom i piękno.

Kierujemy się do Ikażni, kolejnego prywatnego miasta szlacheckiego, mającego dziś, jak i wiele innych, status agromiasteczka. Ale zanim miasteczko, to oczywiście jezioro tej samej nazwy. Jedynie dwie minuty Stefanowej jazdy od jeziora do jeziora. Jesteśmy w krainie, w której wszystko, co znaczące i okazałe rozłożyło się nad jeziorami, których jest tutaj, jak dziur w szwajcarskim serze... Również Ikażń, która powstała na przełomie XV i XVI wieku z woli sekretarza królewskiego Jana Sapiehy, który postawił tutaj, na jeziornej wyspie, zamek, dwukrotnie przebudowywany, a potem zburzony przez wojska Księstwa Moskiewskiego w czasie wojny 1654-67.

Nic niestety nie zostało z dawnego, historycznego układu i zabudowy miasteczka. Zamek nie istnieje, pozostały po nim tylko wały. Na miejscu cerkwi pw. św. Mikołaja z 1500 roku stoi nowa, klasycystyczna z 1905 roku, bieląca się, ale podniszczona, z obitym tu i ówdzie tynkiem, z zabitymi deskami oknami latarni na głównej wieży. Tam, gdzie stał kościół Najświętszego Bożego

Ciała z 1593 r., także stoi dziś nowy, z 1912 r. Prezentuje się okazale, jest bardzo zadbane. Zbudowany w stylu neogotyckim z cegły i kamieni granitowych zdominowany jest przez dwie kwadratowe czterościenne wieże fasady. Domyka go z tyłu owalna absyda, a otacza solidny kamienny płot.

Za kościołem rozciągają się już tylko łąki, pola i podmokłe zarośla. Za to przed kościołem, z lekkiego wyniesienia, na którym stoi rozpościera się szeroka panorama jeziora i widok wyspy zamkowej. Do wnętrza nie udaje nam się dostać, bo jego wrota są zamknięte.



Na zdjęciu: Molenna staroprawosławna w Niwnikach.
Fot. Michał Krzemkowski

Krzysztof opowiada nam, że to tu ksiądz Michał Buklarewicz w Boże Ciało 1919 roku rzucił podczas procesji hasło rozbrojenia bolszewików, a potem zorganizował trzystuosobowy oddział partyzancki. Wkrótce za to Rosjanie go aresztowali i rozstrzelali wraz z siostrą w pobliskim Bigosowie. W obecności kościoła odkrywamy grób obojga, jeszcze sprzed drugiej wojny światowej. Napis na grobie: „Zamordowani za miłość do ojczyzny i ludzi” jest już praktycznie nieczytelny.

Reszta Ikażni, z dawna szlacheckiej, jest dziś sielska, zielona, białoruska, z domkami z białej cegły i drewnianymi, zszarzałymi od starości szopami, z eternitowymi dachami, poletkami ubielonymi kwiatkami chwastów, na których pasą się konie i przechadzają kury.

Z białej cegły, nieotynkowany, jest także lokalny sklep, a na nim, nad drzwiami wygięta plastikowa tablica z ogromnymi literami МАГАЗИН (MAGAZIN), a obok obitych blachą drzwi, blaszana tablica

z naklejoną płachtą papieru informującą o godzinach pracy: РАБОТАЕМ (RABOTAJEM) 10-18. Napisy, niestety, po rosyjsku. Otynkowany jest natomiast budynek biało-białoruskiej poczty – Bielposzty, z równie mało wykwintnymi niebieskimi tablicami z białymi napisami, ale tutaj przynajmniej nazwa napisana jest po białorusku: БЕЛПОШТА. Układ kolorów jest najwyraźniej firmowy, bo niebiesko-biała jest także skrzynka pocztowa i niewielka budka rozdzielcza w narożu pocztowej chatki. Tynk na budowli jest wyświechtany, a obite blachą drzwi lypią na nas

konsumpcjonizm dawno już dotarł, ale się przezornie gryzę w język. Nie rozwiewamy sobie tej pięknej chwili i widoku, jak z obrazów sentymentalnych.

Jezioro Ikażń, nad którego brzegiem spacerujemy, ma niezwykle formę, na mapie – wręcz ażurową. Składa się właściwie z dwóch jezior połączonych krótką cieśniną, ma poszarpaną linię brzegową, pełną zatoczek, półwyspów i cypli, dwie wyspy, a kształt trochę jakby buldoga rodem z kreskówek, rzucającego się do ataku. Śmiesznie to wygląda na mapie, bo kształt miasteczka jest z kolei taki, jakby to była postać zapierająca się nogami i rękoma przed tą napaścią wściekłego psa...

Miasteczko ma aż dwie (!) główne ulice i z radością stwierdzam, że żadna nie nosi imienia Lenina. Jedną jest ulicą radzieckiego lotnika Polewoja, a dalej Centralną, a druga to ulica Jeziorna.

Jakiś przemily nastrój w tym miejscu, żal wyjeżdżać. Ale plan Stefana jest obszerny. I choć do Brasławia już blisko, to my znowu zapuszczamy się głęboko w ład lokalnymi, omalże polnymi drogami na szturze, by napatrzeć się krajobrazu, wpatrywać w sekrety zapuszczonej białoruskiej prowincji, podziwiać loty i wsłuchiwać w klekot młodych bocianów, wypuszczających się w pierwsze wypadki ze swoich rozlicznych gniazd, napawać widokiem błyszczących w słońcu sylwetek kruków, pojawiających się raz po raz na przydrożnych poletkach.

Coś zawsze jest plonem takich spontanicznych rajdów w głąb „interioru”. Owoc trudu wpada w ręce szefa wyprawy i inicjatora skoku w bok – Stefan odkrywa (a może odnajduje) kolejną molennę i dokłada ją do swojej coraz liczniejszej kolekcji starowierskiej. Samochód się zatrzymuje, a chwilę później badacz obchodzi obiekt, łapie za furtkę, robi zdjęcia, rozgląda się za „lokalnymi”, eksploruje, notuje coś w swoim zeszytiku.

Nawet nie wiem, jaka to wioska, Stefan nic nie mówi, wiemy jedynie, że utrafił molennę. To najważniejsze. A to, czy najpierw wyczytał, a potem znalazł, czy też złowił w zarzuconą szeroko sieć podróżniczą, idąc za instynktem, pozostanie jego tajemnicą badawczą. On milczy, a my nie pytamy. Chcemy już jechać do Brasławia.

Rzymscy katolicy na Inflantach przed rozbiorami

Badaczy dziejów i obserwatorów współczesności Inflant na pewno zainteresuje wydanie przez **Stanisława Litaka** akt wizytacji generalnej diecezji inflanckiej i kurlandzkiej przeprowadzonej w 1761 roku. Był to rok jakby kulminacyjny w dziejach tej diecezji i rzymskiego katolicyzmu na tych terenach, po utworzeniu przez króla Stefana Batorego w 1582 roku biskupstwa w Kiesi (Wenden), włączonego do metropolii gnieźnieńskiej, a odrodzonego jako inflanckie w 1643 roku. Po utracie (w rezultacie pokoju oliwskiego w 1660 roku) przez Rzeczpospolitą 4/5 terytorium Inflant na rzecz Szwecji, w 1677 roku powstało księstwo i województwo inflanckie. Tam ustanowiono diecezję ze stolicą w Dyneburgu (katedra była drewniana), do której przyłączono parafie z upadłego w czasie reformacji i rozpadu federacji inflanckiej biskupstwa kurlandzkiego, a także z ziemi piltyńskiej. Po 1755 roku kurie diecezjalną wraz z kapitułą przeniesiono do Krasławia, w którym Platerowie ufundowali katedrę pw. św. Ludwika, która jednak formalnie rangi takiej nie posiadała.



Mapa Diecezji Inflanckiej i Kurlandzkiej

była powszechna, począwszy od Diecezji Wendeńskiej. Stanowiska biskupie często traktowano jako synekury.

Sieć parafii rzymskokatolickich w diecezji inflanckiej była bardzo rzadka. Lepiej była ona rozwinięta w województwie inflanckim niż w Księstwie Kurlandii oraz w Ziemi Piltyńskiej. W części inflanckiej diecezji było 1772 roku 19 parafii i ok. 36 kościołów filialnych i kaplic publicznych (oratoriów), a w części kurlandzkiej – odpowiednio 10 i 9. Jeżeli więc w pierwszym przypadku jeden kościół parafialny przypadła

także w dziedzinie duszpasterstwa parafialnego, odegrały tu – obok jezuitów – i inne zakony, jak od końca XVII wieku dominikanie, a w XVIII wieku w pewnym stopniu bernardyni i augustianie.

Edycja dokumentów powizytacyjnych została w sposób przemyślny przygotowana pod kątem jak największej przystępności. W celu uniknięcia nieporozumień oraz mając na uwadze zanikającą już niemal znajomość języka łacińskiego, nie tylko wśród pracowników naukowych, ale także funkcjonariuszy Kościoła rzymskokatolickiego, nie wprowadzono skrótów bogatej tytulatury osób duchownych, jak *venerabilis*, *admodum reverendus*, *illustris*, *perillustris*, *wielebny* itp., odzwierciedlającej hierarchiczny układ w obrębie stanu duchownego. Tytulatura ta sama w sobie jest ważnym przekazem źródłowym i może stanowić przedmiot odrębnych badań. Konsekwentnie potraktowano także (lepiej już niewątpliwie znaną) tytulaturę świecką. W ogóle starano się unikać skrótów, a te istniejące w tekście źródłowym rozwiązano, z wyjątkiem tytulatury królewskiej.

Teksty w językach: łacińskim, polskim i w minimalnym stopniu w niemieckim, zmodernizowano według zaleceń *Instrukcji wydawniczej dla źródeł historycznych: od XVI do połowy XIX wieku* (1953), pozostawiając właściwości tych języków. Występujące głównie w wersji polskiej i niemieckiej nazwy miejscowości oraz imiona i nazwiska osób, zawsze podawano w pisowni zgodnej ze źródłem, nawet wówczas, gdy te same nazwy czy nazwiska pisane są w różnych wer-

sjach. Jest to uzasadnione tym, że w wielu przypadkach nie wiadomo dokładnie, jaka była obowiązująca ich pisownia i czy w ogóle taka była. Występujące w źródle w formie słownej liczebniki główne starano się oddać cyframi.

Nie kwestionując zasady wierności oryginałowi, dobrze jednak byłoby, choćby tylko w nawiasach, zaprezentować nazwy miejscowości i nazwiska ustalone już po wielu badaniach komparatystycznych, jak to uczyniono w mapce prezentującej rozkład parafii w 1761 roku (s. 335). Są to wersje polskojęzyczne.

Ponieważ diecezja inflancka nie miała wykształconych struktur ponadparafialnych (dekanatów, archidiakonatów), dlatego na mapie uwzględniono podział polityczny na tzw. Inflanty Polskie (województwo lub Księstwo Inflanckie), Kurlandię i Ziemię Piltyńską oraz tzw. Inflanty Szwedzkie.

Bardzo cennym jest starannie sporządzony indeks osobowy i geograficzny, ujmujący różne wersje zawartych w nim nazw, lecz ostatecznie są one sprowadzone do wersji polskiej.

Z uwagi na fakt, że dziejami Inflant, obok badaczy polskich, zajmują się historycy niemieccy, analityczny wstęp do edycji Józef Jarosz przetłumaczył na język niemiecki.

W efekcie mamy dzieło, które nie tylko ma wartość samą w sobie, ale posiada cechy użytkowe dla innych badań komparatystycznych.

Akta wizytacji generalnej Diecezji Inflanckiej i Kurlandzkiej czyli Piltyńskiej z 1761 roku, red. Stanisław Litak, Toruń 1998, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, ss. 336.



Na zdjęciu: Katedra rzymskokatolicka pw. św. Józefa w Lipawie. Fot. Stefan Pastuszewski

Pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej w 1772 roku doprowadził do upadku diecezji, której parafie zostały w 1789 włączone do archidiecezji mohylewskiej.

Wizytację w 1761 roku przeprowadził ks. kanonik Jakub Franciszek Sztolman w imieniu nieobecnego na Inflantach biskupa ordynariusza Antoniego Kazimierza Ostrowskiego, będącego równocześnie koadiutorem włocławskim. Praktyka nieobecności ordynariuszy na tym terenie, traktowanym jako odległe rubieże,

na ok. 700 km., to w drugim aż na 2100. W Kurlandii sieć parafialna była najrzadsza w porównaniu ze wszystkimi województwami Rzeczypospolitej. Zaisntała ona głównie dzięki fundacjom szlacheckim i magnackim (Benisławscy, Bielińscy, Gosiewscy, Hylzenowie, Laccy, Platerowie, Potoccy, Sokołowscy, Szwerynowie, Ludyngshausen-Wolffowie) oraz dzięki wielkiemu zaangażowaniu jezuitów. Szybki jej rozwój obserwujemy w drugiej połowie XVII i w pierwszej połowie XVIII wieku. Dużą rolę,



Na zdjęciu: Kościół rzymskokatolicki pw. Matki Bożej Bolesnej w Rydze. Fot. Stefan Pastuszewski

Powrót Józefa Geralda Wyżyckiego

Powroty bywają różne. Można powrócić za pięć minut, za godzinę, za rok, za 20, za 50 lat... Lecz, można również, tak jak w tym wypadku, powrócić za 200 lat...

Jakiś czas temu do dyrektora Łotewskiej Biblioteki Narodowej Andrisa Vilksa przybył J.E. Ambasador RP Tadeusz Fiszbach wraz z doradcą ds. kultury Jerzym Żurawiczem i w obecności pracowniczki biblioteki Olgi Iljinej podarowali bibliotece kopię wybitnej pracy *Zielnik ekonomiczno-techniczny* autorstwa Józefa Geralda Wyżyckiego. Dwa tomy, łącznie 1000 stron - unikatowe badanie Łatgalskiej flory, ale nie tylko. Praca, o której oprócz prof. Peterisa Zeilisa nikt więcej niczego nie widział.

Naukowiec miał podwójne szczęście

Józef Gerald Wyżycki (1792-1868) miał podwójne szczęście. Po pierwsze, bardzo serdeczne wspomnienia o nim zostawił Jan Obst (ur. 1876 r.), którego matka Maria pochodziła z rodu sąsiadów Wyżyckiego - Sokolowskich, a on sam studiował nauki przyrodnicze, był znanym dziennikarzem i badaczem kultury. Nawet jedyne znalezione dotąd zdjęcie naukowca pochodzi z albumu babci J. Obsta. Dla pani Olgi Iljinej, która zaczęła badać życiorys i prace naukowca, wspomnienia J. Obsta przysłała Biblioteka Narodowa. Piszę on w swoich wspomnieniach o pochodzeniu Wyżyckich:

Rodzina ta nie należy do lokalnych rodzin inflanckich, lecz pochodzi od Wyżyckich w województwie krakowskim... Józef Wyżycki wykształcenie podstawowe zdobył w szkołach klasztornych, następnie studiował na uniwersytecie w Wilnie. W wieku 13 lat przyszedł naukowiec stracił ojca - Tadeusza Wyżyckiego. Anna Wyżycka została sama z trojgiem dzieci - Józefem, jego bratem oraz siostrą Karoliną, która później mieszkała razem z mamą u brata w Łatgalii, w Rosicy. Na uniwersytecie J. Wyżycki studiował botanikę i agronomię...

Jan Obst pisze: *Wyżycki w 1845 r. wydaje w Wilnie swoją obszerną pracę „Zielnik ekonomiczno-techniczny czyli opisanie drzew, krzewów i roślin dziko rosnących w kraju, jako też przyswojonych, z pokazaniem użytku ich w ekonomice, rękodzielach, fabrykach i medycynie domowej”.* Nie zważając na to, iż autor zgromadził i opisał około 1000 gatunków rosnących tutaj roślin, nie jest to dosłownie wykaz roślin, lecz raczej praktyczny poradnik dla rolników i ogrodników. Znajdujemy tutaj wiadomości o najbardziej

rozpowszechnionych u nas zbożach, trawach, roślinach spożywczych i przemysłowych (na przykład lnę, roślinach włóknistych, oleistych, lub roślinach barwiących). Są tu porady z dziedziny uprawiania, nawożenia ziemi, siania i zbioru plonów. Osobny rozdział dyktowany jest leśnictwu. Opisane są najbardziej znaczące gatunki drzew w naszych lasach. Dużo jest porad praktycznych. Autor uczy, jak należy dbać o las, powielać go, jak wyciągnąć najwięcej korzyści, jakie drzewa należy ścinać, które nadają się na opał, które do budowy, które do stolarstwa. Opowiada jak można wykorzystać liście, smołę, sok, popiół oraz opilki.



Na zdjęciu: Grób Józefa Geralda Wyżyckiego. Fot. Alojzy Michalski

Mądra dalekowzroczność, gospodarność, oszczędność, miłość wobec przyrody oraz szacunek dla darów bożych - to wszystko przemawia do nas z każdego zdania, z każdej strony...

Po drugie, Józef Gerald Wyżycki miał szczęście także dlatego, iż w Łotewskiej Bibliotece Narodowej był człowiek, którego zainteresowała jego unikatowa praca o łatgalskiej florze i jego osoba. Była to jedna z najbardziej znanych pracowniczek biblioteki - kierowniczka Funduszu Pomocniczego Literatury i Sztuki Olga Iljina.

O swej misji tak kiedyś rzekła:

„Mam takie wrażenie, iż moim przeznaczeniem jest badanie życia Wyżyckiego i osiągnięcie odnowienia jego grobu. Jan Obst zmarł w 1941 roku, a ja właśnie wtedy się urodziłam. Wychodzi, że muszę kontynuować pracę Obsta...”

Olga Iljina z rodu Chlebnikow

Trochę o rodzice Chlebnikowych, z którego pochodzi jej matka. Po śmierci Józefa Geralda Wyżyckiego czterech Chlebnikowych kupiło od bratanków naukowca

dwór w Rosicy. Chlebnikowcy byli rosyjską szlachtą, staroobrzędowcami. Dwór kupili za pieniądze zarobione przy budowie kolei Sankt-Petersburg-Orzeł (m. Orioń). W geście wdzięczności otrzymali od cara złotą szablę. W tamtym okresie na ścianie w dworze wisiało zdjęcie, na którym pokazana była chwila wręczenia szabli.

Jednym z przedstawicieli tego rodu był również rosyjski przemysłowiec Fjodor Chlebnikow, który w Kałudze miał manufakturę płótna żaglowego, eksportowanego nawet do Ameryki. Był jednym z najjaśniejszych umysłów Rosji w

owym czasie, przez dwadzieścia lat tworzył encyklopedię o wszystkich dziedzinach nauki, lecz nie zdążył jej ukończyć. Do tego rodu należał także poeta rosyjski Wielimir Chlebnikow.

Pani Olga wyrosła bez ojca, który zginął podczas II wojny światowej pod Moskwą. Jej matka podczas wojny trafiła do kazamat w NKWD w Rydze, ale wypuszczono ją, bo miała przy sobie powiadomienie o śmierci męża na froncie, jako czerwonarmisty. Podczas drugiej fali represji właśnie matka Olgi uratowała przed wywózką resztę rodziny Chlebnikowych - tylko sobie znaną ścieżką wyprowadziła ich na kilka dni w bagna. Niestety sama wysłania uniknąć nie zdołała...

Uratowani krewni, podczas odzyskania majątków, okazali się niewdzięczni, w tajemnicy i po śpiechu otrzymali kompensację za dwór w Rosicy i murowany budynek w Rezekne. Oldze Iljinei udało się prywatyzować tylko cmentarz rodziny Chlebnikowych w Rosicy - nikogo nie zainteresował... Obecnie wspólnie z mężem co roku na wiosnę udają się do

Rosicy, wycinają krzaki, dbają o cmentarz.

Pewnego razu zwrócili uwagę na przewrócony pomnik pierwszego właściciela dworu. Z trudem go podnieśli. Mąż Olgi Robert zrobił zdjęcie pomnika. Starannie przepisany z pomnika polski tekst Olga przyniosła mi do przetłumaczenia. Właśnie w ten sposób z bardzo nielichych wiadomości zaczęło się badanie Olgi Iljinej o Józefie Geraldzie Wyżyckim. Ludzie często pytają, dlaczego pani to robi? Pisanie do muzeów, bibliotek, archiwów w Polsce, Białorusi, Litwie... Olge takie podejście gniewa.

Dlatego, że w dzieciństwie w parku stworzonym przez Wyżyckiego było pięknie, odpowiadała ze łzami w oczach. Tylko wtedy myślałam, że to wszystko stworzyli moi przodkowie...

Józef Gerald Wyżycki żył długo, lecz nie ożenił się. Jan Obst pisał: *Wydaje się, że z powodu nieszczęśliwej młodości miłości. W tamtym okresie romantyzmu podobne przeżycia mogły wpłynąć na całe życie...!* opowiadań matki Olgi Iljinej wynika, iż ludzie w dworze mówili o byłym właścicielu, że na tym skrawku ziemi był bardzo szczęśliwy, a zarazem głęboko nieszczęśliwy. Szczęście mijało się tutaj ze łzami... Nawet na pomniku, który dla wuja zamówili bratankowie znajdują się dwa serca, a jedno z nich przebite jest strzałą. Znajdują się na nim też kobiety z kielichami. *Myślę, iż są to kielichy zmartwień, cierpienia, które człowiek w życiu powinien opróżnić, mówi Olga.* Nadal nie dają jej spokoju przeżycia osobiste J. Wyżyckiego. Olga uważa, że związana z nimi jest nazwa jego dworu - Rosica. Nazwa może być związana z imieniem jego ukochanej kobiety.

W tym kierunku też poszukiwania trwały. Według Olgi, takie kwestie mogli wiedzieć tylko członkowie rodziny, dlatego ona próbowała odnaleźć potomków rodziny Wyżyckich z myślą:

Niemożliwe, aby nikogo nie było! Miał trzech bratanków, lecz wszyscy byli wojskowymi...”

Józef Gerald Wyżycki na Łotwę przyjechał na początku XIX stulecia, kupił ziemię i wybudował dwór. Jan Obst pisze w swoich wspomnieniach: *Oto dwór, po lewej stronie stary, zacieniony sad, wokół niego wysoki płot z żerdzi.*

Wjeżdżamy na podwórko: dookoła budynki gospodarskie, proste jak na szlachtę przystoi, lecz solidne i porządne, murowana obora i spichlerz, niewielka sala, skrzydło. Pokryte nową dachówką.

Na środku równo ostrzyżony klomb akacji, a w głębi typowy biały budynek dworu ze zdobionymi okiennicami. Ganek z czterema białymi kolumnami.

W drzwiach spotyka nas stary kamerdyner Antoni: Pana dworu nie ma w domu. Pojechał do

wsi, tam jakieś dzieci chorują na szkarlatynę.

Wewnątrz przyjemnie chłodno. Bardzo tutaj czysto, wszędzie idealny porządek. Nad biurkiem szklana szafka aptekarska wypełniona buteleczkami, słoikami i puszczkami z lekami, bo pan dworu w okolicy słynie ze swego talentu lekarskiego. Tę jego skłonność potwierdzają również liczne pęczki różnorodnych ziół leczniczych (wszystkie zebrane na polach, łąkach i w gajach Rosicy).

Wielka wypełniona książkami półka zajmuje całą ścianę. Większość to prace naukowe, a dobór książek świadczy o tym, iż ich właściciel nie traktuje naukę w sposób dyletancki... Na osobnej półce są prace napisane przez samego pana dworu - i jest to widok wywierający ogromne wrażenie...

Osobliwości opisu flory łatgalskiej

Współczesnego czytelnika na pewno zainteresowałyby obecnie zapomniane, wydawałoby się niezwykle sposoby wykorzystywania roślin. Oto, co Wyżycki pisze o mydlnicy lekarskiej (całkiem niewyróżniających się jasnych kwiatkach, które niegdyś rosły pod oknami każdego wiejskiego domu:

Cała roślina, lecz najbardziej jej korzeń, po wydarciu z ziemi ma słodkawą, lepką zapach, który wkrótce zamienia się w gorzkawy i takowy utrzymuje się. Wywar z rośliny pieni się jak woda mydlana (Sprawdziłam! Również w Rydze rosą te rośliny o różnanych kwiatkach, Saponaria officinalis, pienią się jak szampon! - A.L.) / można go wykorzystać do prania białizny, oraz zastąpić nim mydło piorąc wełnę. Mydlnicę można również wykorzystać do odplamiania szat i tkanin. Flaszki oraz naczynia, w których przechowywano olej, najlepiej wyczyścić zgniecionymi liśćmi mydlnicy i wodą... Korzenie należy zbierać wiosną lub jesienią, przepłukać i przechowywać wysuszone.

O liściach i kwiatach nasturcji pisze: *Liście mają nieco żrący gorzkawy smak, podobnie jak rzęzucha, lecz kwiat ma przyjemny ostry zapach. Liście i kwiaty można wykorzystać do surówek. Szczególnie pomaga na szkorbut oraz w wypadku ruszania się zębów.*

O czosnku: *Ta roślina syceylijska, spożywana z umiarem, wspomaga trawienie. Spożywana w dużych ilościach powoduje podrażnienia i mdłości, wymioty, kolki, rozawolnienie i niepokój. Jedzenie czosnku sprawia, iż oddech, pot, mocz oraz mleko przechodzącego zapachem. Powiadają, iż, jeżeli przyłożyć czosnek do stóp, to jego specyficzny zapach można poczuć w ustach. W medycynie stosowany jest do rozrzedzenia śluzu oraz do odrobaczania. Ugotowany z miodem lub wodą w syropie cukrowym czosnek bardzo dobrze działa na mokry kaszel oraz astmę. Posiekany czosnek zalany gorącą wodą lub niedługo gotowany w mleku stosowany jest do morzenia robaków i odrobaczania. Podobnie mleko z czosnkiem, stosowane jako*

lewatywa, morzy nieprzyjemne robaki drobne, które nazywają glistami i które przeważnie przebywają w odbytnicy. Nalewką z czosnku i wódki mieszkańcy wsi bardzo skutecznie leczą gorączkę. Kilka kropelek soku na strzępku bawełny włożone do ucha bardzo skutecznie leczą pogorszenie się słuchu spowodowane przeziębieniem lub reumatyzmem. Kilka kropli soku z czosnku z cukrem użyte doustnie lub zewnętrznie, nacierając żołądek, morzą i wypróżniają robaki u dzieci. Sok z czosnku wtarty w miejsce ukąszenia żmii niweczy jad i skutki jego dalszego działania.

Poziomki leśne chłodzą oraz orzeźwiają. Poza tym mają właściwości rozrzedzania soków, przeciwdziałają wzdęciom, polepszają apetyt i działają moczopędnie. Spożywane u dużych ilościach poziomki pomagają chorym na gruźlicę. Rozpuszczają kamień naczynny do tego stopnia, iż częste spożywanie całkowicie go niweluje. Wiele osób, nawet słynnego Linneusza, spożywanie wielkiej ilości poziomki wyleczyło z podagry. Również zalecają jedzenie poziomki, jeżeli osoba ma kamienie w pęcherzu czy nerkach. Jeżeli papkę z dojrzałych poziomki nałożyć na pięgi, znikają one



Na zdjęciu: Dzwinina.

na długi czas... Aby uchronić truskawki przed owadami, należy pod roślinę położyć mech, co jednocześnie uchroni od nadmiernego wysychania.

Podaje następujący przepis z wykorzystaniem **bagna zwyczajnego**, które, jak wiadomo, służy do zwalczania krztusca: *Garść bagna należy gotować w trzech kwartach wody bez przykrycia, aby częściowo wyparowały substancje narkotyczne. Osoba cierpiąca na krztusiec powinna spożywać szklanke wywaru co 3-4 godziny. W skutek działania wywaru wywala się śluz i ataki kaszlu są coraz rzadsze. Mocny wywar bagna (pod przykryciem) wtarty w skórę leczy grzybicę woszczynową na głowie... Kwiaty bagna zwyczajnego lubią pszczoły. Tym niemniej żadne bydło, oprócz kozy, tej rośliny nie dotknie.*

Wyżycki ma bardzo twórcze podejście do roślin, zastanawia się, jakie jeszcze mogłyby mieć zastosowanie. Zaznacza na przykład, iż, tworząc klomby, zamiast zwykłych krzaczków można byłoby sadzić jagody i właściwie je podcinać. Zachęca też do sadzenia na klombach w ogrodach wierzbowkę kipyrcę,

która jest bardzo ozdobna.

Prace Wyżyckiego zawierają również bogaty materiał etnograficzny-opisane w nich są dawne sposoby wykorzystywania roślin oraz drzew np. **wrzos**:

Rośnie powszechnie na suchych ugorach, terenach piaszczystych, lasach. Kwitnie jesienią do zimy. Często zajmuje bardzo wielką część łąki, rośnie tak gęsto, że nie pozwala zasiać się i zakorzenie żadnym drzewom. W gospodarstwie ten godny krzew ma bardzo różnorodne zastosowanie. Młode gałązki latem oraz zimą mogą służyć, jako doskonały pokarm dla każdego rodzaju bydła szczególnie owiec... W okolicach Lüneburga (bagna Lüneburg - A.L.) hodują szczególną rasę owiec, nazywaną Heydesznuken, które karmią prawie lub wyłącznie wrzosem. Te owce są wprawdzie mniejsze od innych, lecz są bardziej tłuste i dają więcej wełny. Podczas niewrodzaju gałązkami można karmić również konie. Są tereny, na których wrzosem kryją dachy. Szczególnie w miejscach, gdzie nie ma już lasów, wrzos jest prawdziwym darem dla wiejskich budowniczych.

Dalej Wyżycki pisze, iż wymie-

szany z gliną wrzos stosowany był w budownictwie na terenach Łatgalii i Kurlandii. Faktycznie, jeżeli w Łatgalii runie jakiś stary mur, ludzie dziwią się, co to za trawa, z którą wymieszano glinę? Takie jak widłaki...

Posiadający szeroką wiedzę z zakresu flory oraz praktyczny rozmach Józef Gerald Wyżycki utworzył dookoła dworu w Rosicy prawdziwy ogród botaniczny o powierzchni 5 ha. Mieszkańcy tamtych terenów wspominali później, iż Wyżycki był naukowcem, ale w jakiej dziedzinie - po wielu latach to wyparowało już z pamięci ludzi...

Rosica we wspomnieniach Olgi Iljinej

Poprosiłam, aby Olga przypomniała sobie z okresu swego dzieciństwa jakiekolwiek z roślin posadzonych przez Wyżyckiego. Niesztety w czterdziestych latach klombów już nie było - kwiaty rosły w wysokiej, niekoszonej trawie, gdzie bawiła się mała Olga. Co tam rosło? Przede wszystkim konwalie, bardzo dużo konwalii, lecz różniły

się od tych, które znamy teraz. W Rosicy były inne - miały większe kwiaty i bardzo, bardzo mocny zapach. Były również dzwoneczki, też duże, lecz nie fioletowe, a różowe z różowymi lub żółtymi jezyčkami. W trawie kwitły także żółte, pachnące tulipany. Okazało się, iż są to tulipany leśne (*Tulipa sylvestris*).

Bułwy leśnych i pachnących tulipanów należy przysadzać co 3-4 lata do świeżo przygotowanego gruntu. Kiedy przetłumaczyłam Oldze te zdanie, jej oczy zabłyszczały i wykrzyknęła: Co 3-4 lata! Kwitną tutaj już przez 200 lat bez żadnego przysadzania! Były tam również niebieskie lilie. Nadal kwitną! Rosły także modrzewia - podobnie jak w innych dworach łotewskich oraz przy starych wiejskich chatkach. Naukowiec stworzył również aleję topoli od drogi do cmentarza Wyżyckich. Topole, które tutaj rosą obecnie, podobno zostały sprowadzone z Ukrainy, mówi Olga. Topole posadzone przez Wyżyckiego miały większe, bardziej połyskujące liście, które pachniały. Nie miały także puchu. Te piękne, możliwe nawet rzadkie drzewa zostały ścięte po wojnie. Podobnie jak znajdujący się nieopodal smukły gaik brzoźowy przy cmentarzu rodziny Chlebnikowych. Wykorzystano je na opał. Chociaż do lasu jest zaledwie kilka kroków... Olga również wspomina, że w każdym kącie majątku wznosił się wysoki jesion. W parku były dwa stawy połączone wygiętym mostkiem. Dookoła stawów rosły srebrne wierzby płaczące. Wyżyccy mieli również oborę dla bydła, z której później korzystali Chlebnikowy. Od swej mamy Olga dowiedziała się, iż nazywano ten budynek oborą, był bardzo wielki. Pod jednym dachem była obora dla krów, stajnia dla koni oraz wozownia (pomieszczenie dla sprzętu, różnych powozów). Obora dla krów była dwuczęściowa (dla dorosłego bydła i cielaków). Tam samo było pomieszczenie dla kur i gęsi. Na środku obory było kwadratowe podwórko (w/w pomieszczenia je otaczały). Obornik nigdy nie wywożono przez bramę wjazdową od strony dworu, lecz wyłącznie przez bramę tylną.

Ponadto za czasów Wyżyckiego wybudowano piwnicę na lód czyli lodownię, którą później wykorzystywano do przechowywania żywności latem. To był bardzo głęboki dół z stromymi brzegami i schodzącymi w dół schodkami. Na dole układano lód wyrąbany z jeziora (Wyżycki, a później ród Chlebnikowych posiadał również połowy dwóch jezior), który przysypywano trocinami i układano na nich deski. Nad dołem wybudowano wielką budę z półmetrowym słomianym dachem (aby nie dostawało się tam słońce). Na wzgórzach znajdował się młyn. Wszystkie budynki zostały wybudowane w sposób bardzo przemyślany i solidny. W spichlerzu

było wiele zasieków, gdzie przechowywano nie tylko zborze dla bydła, lecz także mąkę z różnego przemiału. Pod spichlerzem wybudowano warsztaty. Robiono tam osprzęt dla koni, lejce, większy lub mniejszy sprzęt... Szkoda, że nic z tego się nie zachowało. Podobno jak z dworu Wyżyckiego, który po wojnie spróchniał i został spalony.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, iż dwór w Rosicy Józefa Geralda Wyżyckiego wraz z zabudowaniami gospodarczymi i oborą był w owym czasie najbardziej nowoczesny na terenie Łotwy, ponieważ już w 1838 r. w Warszawie wydano jego, jak pisze Obst „wspaniałą pracę”, *Nauka hodowli zwierząt domowych* ze wstępem Michała Oczapowskiego (Oczapowski był kolegą Wyżyckiego z okresu studiów w Wilnie, był dyrektorem Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa na Marymoncie pod Warszawą).

Łotewska Biblioteka Narodowa

Łotewska Biblioteka Narodowa nawiązała kontakt z Biblioteką Narodową w Polsce, gdzie są dwa egzemplarze tej książki Wyżyckiego i teraz na Łotwie również ma w zasobach skopiowany egzemplarz książki. Autor tę książkę również napisał w swoim dworze w Rosicy...

Kiedy po raz pierwszy otworzyliśmy *Zielnik ekonomiczno-techniczny Józefa Geralda Wyżyckiego* zobaczyliśmy jego podpis oraz herb pod tekstem: *Z egzemplarzami, których autor własnoręcznie nie podpisał i nie postawił swojej pieczęci, należy postępować według prawa.* Na herbie Wyżyckiego jest osiem rogów, ponieważ według tego, co pisze Obst, Gerald oznacza Ośmiorożec.

Lokalny znawca historii wydawnictwa książek Aleksejs Apīnis po obejrzeniu tego napisu powiedział: *Praca ta została wydana pod patronatem. Na Łotwie nie było takiej praktyki. Takie wydania ukazywały się na Litwie.*

Czy Wyżycki miał przeczucie, że jego prace może bezprawnie wykorzystać ktoś inny? Prawdopodobnie tak też się stało. Właśnie dlatego przez tak długi okres nie słyszeliśmy o Józefie Geraldzie Wyżyckim. Ale to będzie już inne badanie.

Myślę, że dzisiaj na Łotwie wiele osób zainteresowała by odzyskana kapitałna praca Wyżyckiego. Oczywiście przeszkodą jest bariera językowa. Dlatego mamy nadzieję, iż tę pracę wspólnymi siłami przetłumaczą nauczyciele i uczniowie Gimnazjum Polskiego w Rezekne.

Zachowała się niezwykła, piękna nazwa miejscowości - Rosica... Nadal wiosną tam wiernie kwitną posadzone przez Wyżyckiego żółte i pachnące tulipany leśne. Kwitną jako żywy pomnik wybitnego badacza roślin.

Andrzej Stanisław Sepiół

ORSZA 1514

Poranek 8 września Anno Domini 1514.

Miasto Orsza nad Dnieprem, obecnie na Białorusi.

W okresie I Rzeczypospolitej stolica powiatu

w województwie witebskim.

Twierdza tzw. Bramy Smoleńskiej.

Teren Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Zakole Dniepru na północny wschód od Orszy.

Na tym podmokłym terenie stoją naprzeciwko siebie

dwie dążące do walnej rozprawy armie:

polско-litewska pod dowództwem

wielkiego hetmana litewskiego księcia Konstantego Ostrońskiego

i Rusów pod dowództwem kniazia Iwana Czeladnina.

Teren to znany dla Konstantego Ostrońskiego.

Wszak w latach 1508 i 1513 dwukrotnie potykał się tu z Rusami

i dwukrotnie odchodził jako zwycięzca.

Jak będzie za trzecim razem?

Strach, bo armia polско-litewska liczy tylko 30.000 żołnierzy,

a armia Rusów około 50.000 żołnierzy, a to samej jazdy.

Po lewej stronie huf czelny litewski z Ostrońskim jako dowódcą.

Po prawej stronie huf czelny polski, w luce pomiędzy nimi część piechoty.

Z tyłu po lewej stronie huf walny litewski,

a po prawej stronie huf walny polski.

Na lewym skrzydle trzy hufy posiłkowe lekkiej jazdy litewskiej;

na prawym polskiej złożone z chorągwi raców (husarzy).

Piechota i artyleria jeszcze bardziej na prawo od hufów

posiłkowych osłonięta przez laski i krzewy.

Kopijnicy w zbrojach płytowych ważących do 30 kg.

Uzbrojeni w liczące 4 metry kopie, miecz, koncerz i kord.

Chorągwie rackie (husarskie) zbrojne we włócznie

i szable oraz małe węgierskie tarcze, lub tureckie kałkany.

W armii Rusów pierwszą linię zajmuje Pułk Straży Przedniej.

W tyle po prawej stronie Pułk Prawej Ręki,

a po lewej stronie Pułk Lewej Ręki.

Pomiędzy nimi uszykował się Pułk Wielki,

a za nim stanął Pułk Straży Tyłnej (Pułk Zasadzki),

gdzie zainstalował swe stanowisko Iwan Czeladnin.

Jazda moskiewska zaopatrzona w zbroje, brygantyny,

bechtery, pancerze huskowe i lamelkowe, kolczugi;

zbrojna w sulice, rohatyny, łuki,

szable i tarcze tureckie – kałkany.

Przez trzy godziny do południa potyczki harcowników.

Następnie uderzenie pewnych siebie Rusów

i kilka godzin zażartej walki.

Sztuczka w postaci rejterady na wzór tatarski

polских hufów posiłkowych.

Ukryta za laskami piechota i artyleria polska nagle

razi salwami opadającymi lawiną żelaza i ołowiu pędzące wózem

za uciekającymi chorągwie moskiewskie.

Polские hufy posiłkowe zawracają i wraz z hufem walnym

uderzają na zszokowanych Rusów.

Pułk Lewej Ręki przestaje praktycznie istnieć.

Iwan Czeladnin dostaje się do niewoli,

zaś około 18.00, po sześciu godzinach walki,

rozpoczyna się dobijanie moskiewskich uciekinierów.

W bitwie ginie kilkanaście tysięcy Rusów, 5.000 dostaje się

do niewoli, w tym aż 10 wojewodów.

Dojrzałość po raz trzeci okazuje się mocną

stroną Konstantego Ostrońskiego.

Zostaje nazwany po tej wiktorii „Ruskim Scypionem”.

To zwycięzca w 62 bitwach.

W czasie bitwy nie czas na lekcje taktyki.

Doświadczenie jest matką mądrości

i źródłem zwycięstwa.



Na zdjęciu: Orsza. Podominikański kościół rzymskokatolicki pw. św. Józefa z 1808 roku. Liczne przeróbki związane z wykorzystywaniem świątyni w czasach radzieckich na cele pozasakralne w sposób istotny zmieniły bryłę świątyni. Fot. Stefan Pastuszewski

Spełnione marzenie - rowerem na Zachód (1)

Jarosław Janczewski w czasach, kiedy większość Polaków jeździła za granicę do NRD na podstawie pieczętki białej w dowód osobisty, do Czechosłowacji w obszarze górskiej konwencji granicznej, albo na wystawiany w kolejkach paszport – on dokonał rzeczy niezwykłej: objechał niemal całą zachodnią Europę rowerem, co wydawało się niemożliwe do zrealizowania. Janczewski miał jednak wielki zapał do podróży i poznawania świata, a przy tym mnóstwo sprytu i zaradności.

Jeździć na rowerze nauczył się wcześniej. Bardzo lubił „śmigać” po podwórku i parkowych alejkach. W 1960 r. wziął udział w organizowanym przez redakcję „Dziennika Wieczornego”, niesłychanie popularnym w Bydgoszczy „Czarze dwóch kółek”. Zawody odbywały się na obiekcie Zawiszy, a trasa wyścigu dla dwunastolatków, w którym uczestniczył, wiodła wokół stadionu. Wyścig ten wygrał, a nagrodę stanowiła... kolarska koszulka. Miał propozycję zapisania się do klubu *Pafaro* istniejącego przy zakładach rowerowych, ale rodzina sprzeciwiła się temu. I tak nie został rywalem Szurkowskiego, ale turystycznej przygody z rowerem nie zakończył praktycznie do końca życia.

Pierwszym jego „poważnym” rowerem był *Maraton* kupiony na talon pochodzący z bydgoskich zakładów rowerowych. Ważył około 14 kilogramów, miał polską przerezutkę i „wyścigową” kierownicę. Janczewski miał go długo, to na nim odbył wszystkie niemal europejskie wyprawy. Stracił go dopiero w 1983 r. we Włoszech, kiedy go ukradziono na kempingu. Musiał wtedy pójść w Szwajcarii do pracy. Przez tydzień wkopywał podpórki do winnych latorośli. Za tę pracę właścicielka plantacji kupiła mu rower. Był to leciutki „szwajcar” na japońskich podzespołach. Służył mu przez wiele lat do jazdy szosą. Tylko na jazdę po Bieszczadach, gdzie spędzał przez wiele lat wakacje, zabierał ze sobą „górala”.

Wizowy cyrk

Pomysł pierwszego europejskiego wyjazdu zrodził się nie tylko, rzecz jasna, z kolarskiej pasji, chęci zobaczenia świata „za żelazną kurtyną”, ale i z dużej ilości wolnego czasu. W 1972 r. Jarosław Janczewski kończył studia na Wyższej Szkole Inżynierskiej w Bydgoszczy. Pracę dyplomową wykonywał w ośrodku badawczo-rozwojowym „Formetu”, co zajmowało mu niewiele czasu. Jesienią miał podjąć pierwszą pracę zawodową. Będąc w takiej sytuacji, postanowił zorganizować sobie ostatnie „prawdziwe” wakacje. Z dwójką kolegów, też zwariowanych rowerzystów, uzgodnił, że pojedą „gdzieś daleko”. Byli już wcześniej na jednośladach w Czechosłowacji, potem wyprawili się aż do Bułgarii i Rumunii, wreszcie w 1971 roku „zrobili” trasę dookoła NRD. Teraz więc cel mógł być właściwie tylko jeden: zobaczyć „prawdziwy Zachód”.

Bydgoszczanie wymyślili trasę pod nazwą „Dookoła Alp” przez NRD, RFN, Belgię, Holandię, Luksemburg, Francję, Szwajcarię, Włochy, Austrię, Węgry i Czechosłowację łącznie około 3800 kilometrów. Czas przejazdu oszacowali na pięćdziesiąt dni, a datę wyjazdu ustalili na 1 sierpnia. Formalności związane z wyjazdem na wszelki wypadek zaczęli załatwiać już w... styczniu. Było to słusne posunięcie, bowiem, jak się okazało, ich załatwianie zajęło czas aż do lipca!

Ponieważ Janczewski kończył dzienne studia, musiał znaleźć dwóch żyrantów, którzy zobowiązali się w razie jego pozostania za granicą do zapłacenia 30 tysięcy złotych jako zwrot kosztów studiów – takie wtedy obowiązywały przepisy.

Wtedy też, a były to już czasy Edwarda Gierka, były do zdobycia tzw. promesy na wyjazdy do krajów kapitalistycznych, po 100 dolarów na głowę. Trochę zachodu trzeba było, aby je uzyskać, ale Janczewski i jego koledzy nie mieli z tym większego problemu. Przyznano je, ale tylko na jeden kraj. I to nie było przeszkodą. Janczewski

wpadł na pomysł, by zakleić na dokumencie nazwę kraju, do którego były one przyznane, zrobić siedem fotokopii i na nich powpisywać nazwy pozostałych krajów. Kopie promesy składali w ambasadach. Było to niezbędne, aby otrzymać trzymiesięczne wize. Trzeba było w tym celu osobiście jechać do Warszawy, za każdym razem do innej ambasady i wystawać w kolejkach. Do wiz tranzytowych, 48-godzinnych promesa właściwie nie była potrzebna, ale przejechać rowerem przez 48 godzin przez Niemcy, Francję czy Włochy było zupełnie nierealne. Dostali w ten sposób pięć wiz trzymiesięcznych i dwie tranzytowe, więc mieli w rękę wszystkie niezbędne dokumenty.

Przymusowy survival

Ruszyli z Bydgoszczy mając w kieszeni po 100 dolarów kupionych w banku po „państwowej” cenie i jeszcze inne waluty wykupione na książeczki walutowe do krajów socjalistycznych, bo i przez te wiodła „alpejska” trasa – NRD, Węgry i CSRS.

Zabrali ze sobą namiot bez podłogi i tropiku, materace dmuchane i śpiwory, trzeba to wszystko było rozłożyć na trzy rowery. Do tego wzięli osiemdziesiąt puszek konserw, odzież na zmianę i mapy. Wyszło po 80 kg bagażu na każdy rower. By jednoślady mogły to unieść, trzeba było specjalnie wzmocnić bagażniki, przygotować odpowiednie sakwy. Szczęściem nie przez całą drogę się z rowerami nie działo, nie trzeba było niczego naprawiać. Wszystkie zapasowe części, które dostali z *Rometu*, przywieźli ze sobą z powrotem. Jedynie wymieniali klocki hamulcowe, kiedy na granicy Francji i Szwajcarii pokonywali takie wzniesienia, że jechali całe kilometry w chmurach.

Dwa odcinki wyprawy przejechali pociągiem. Pierwszy między Brescią i Mediolanem we Włoszech, gdzie było ogromne natężenie ruchu i bali się jechać szosą. W Szwajcarii też pewien odcinek pokonali promem kolejowym, ponieważ nie zezwolono na przejazd rowerami przez

13-kilometrowy tunel pod Alpami, który nie posiadał wówczas klimatyzacji.

Pieniądzy zabranych z kraju nawet nie zaczęli wydawać. Każdy wrócił z dużo większą sumą dolarów, niż ruszali z Polski! Jak to było możliwe? Mieli na sobie dresy z napisami „Polska – Bydgoszcz”, flagi przy bagażniku, byli z daleka widoczni. Już w RFN-ie zatrzymywali ich mieszkający tam Polacy, prosili, żeby zjechać na parking. Często wiali jedzeniem, wręczali różne suveniry, gotówkę, a przede wszystkim jedzenie na drogę. Nieraz musieli porządnie się najeść przed wyruszeniem w drogę, bo nie było gdzie tego w bagażach upchnąć.

Najtrudniejsza granica

Bez wątpienia najtrudniejszą do przekroczenia granicą była ta, która dzieliła dwa państwa niemieckie, między NRD a RFN. I to nie tylko ze względów szczególnego bezpieczeństwa czy politycznych. Nie było wówczas między tymi krajami ani jednego przejścia granicznego na normalnej szosie, którą można było się poruszać rowerami. Przejścia były wyłącznie na autostradach, gdzie obowiązywał zakaz poruszania się jednośladami.

Trzej młodzi bydgoszczanie założyli z góry, że pojedą z Bydgoszczy pociągiem tak daleko, jak tylko się da. Bilety kupili do Helmstedt, granicznej stacji pomiędzy NRD i RFN. Jednak już w Berlinie zostali wyrzuceni z pociągu, bo nie wolno było w NRD wozić rowerów w przedziałach. Wsiadli więc do następnego „zugu”, ale historia się powtórzyła na następnej stacji. Tak musieli wysiadać trzy razy, aż w końcu dotarli do Magdeburga. Tam kolejarze zaprowadzili ich na posterunek milicji, zostali spisani. W związku z tym z dalszych usług kolei zrezygnowali. Z dziesięć razy ludowa NRD-owska milicja zatrzymywała ich na trasie od Magdeburga do granicy i kazała zjechać z autostrady. Wracali oczywiście, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku stróżów porządku.

cdn.